

Lech K. Paprzycki

Tanzania : na pograniczu demokracji i niedostatku

Palestra 40/3-4(459-460), 127-133

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Lech K. Paprzycki

Tanzania – na pograniczu demokracji i niedostatku

Kraj ten nie interesuje prawie nikogo – nawet turystów, którzy w poszukiwaniu atrakcji safari wybierają się do sąsiedniej Kenii, bez porównania lepiej do tego przygotowanej, choć równie nieatrakcyjnej jak Tanzania. Na trasie Londyn – Dar es Salaam 400-miejscowy jumbo-jet jest wypełniony, ale po lądowaniu w Nairobi pozostaje z całą pewnością nie więcej jak 100 osób, które zmierzają do Tanzanii. Co więcej, po odprawie paszportowo-celno-zdrowotnej okazuje się, że większość z podróżujących do końca to obserwatorzy zbliżających się wyborów parlamentarno-prezydenckich. Spotykam wielu znajomych z Amsterdamu i poprzednich misji wyborczych w Republice Południowej Afryki, Namibii, Malawii i Mozambiku. To dobrze, gdyż wiem, że tu warunki będą szczególnie trudne, a doświadczenie będzie się bardzo liczyło.

Port lotniczy w Dar es Salaam robi dobre wrażenie, gdyż sam budynek pochodzi chyba z lat siedemdziesiątych, zaraz jednak przekonujemy się, że większość urzędów nie funkcjonuje, a brak klimatyzacji powoduje, iż nikt nie ma wątpliwości co do bliskości równika i wybrzeża Oceanu Indyjskiego – temperatura i wilgotność powietrza jak w przegrzanej szklarni.

Można się jednak do tego szybko przyzwyczaić, choć wypoczynek w nocy aż do wyjazdu okazuje się prawie niemożliwy. Co innego jednak bardziej zajmuje uwagę – ostatnie przygotowania do wyborów – pozostało wszak tylko cztery dni. Jesteśmy na wybrzeżu, a jest to przecież kraj trzy razy większy od Polski, gdzie większość dróg w ogóle nie zasługuje na tę nazwę, gdzie nie ma regularnej komunikacji publicznej, a odległości liczy się w tysiącach kilometrów.

Następnego dnia (26 października 1995 r.) w sali posiedzeń tanzańskiego parlamentu spotykają się wszyscy obserwatorzy. W porównaniu z tym, co było w RPA, czy nawet Mozambiku, gdzie pojawiło się tysiące obserwatorów, tu jest nas nie więcej jak trzysta osób. Jeżeli tę garstkę ludzi rozrzucić po obszarze prawie miliona kilometrów kwadratowych, niemal nie będzie nas widać.

O ile wyborami w RPA interesował się dosłownie cały świat, to w Tanzanii zjawili się najbardziej wytrwali – śmiało można powiedzieć „weterani” południa Afryki

i oczywiście „moja” AWEPA – Stowarzyszenie Parlamentarzystów Europy na rzecz Południa Afryki. Dzięki tej organizacji wraz z prof. Ludwikiem Turko, posłem Unii Wolności, uczestniczymy w niezwykle interesującej misji.

Wszystko jest wyśmienicie zorganizowane, przede wszystkim dzięki sztabowi AWEP, który przez ostatnie trzy miesiące przygotował to, co zastaliśmy. A okazało się, że każdy z kilkuset obserwatorów dostał komplet dokumentów i informacji koniecznych dla powodzenia misji w tym skrajnie ubogim i bardzo źle zorganizowanym państwie, gdzie, jak na nasze europejskie wyobrażenia, nie ma prawie niczego.

Prof. L. Turko jedzie nad Jezioro Wiktorii – zazdroszczę mu, gdyż sama nazwa robi wrażenie. Wszystko jest już dawno zdecydowane, stąd moja prośba o skierowanie w okolice Kilimandżaro nie mogła być uwzględniona. Zostają skierowany w sześciuosobowym zespole do południowej prowincji Lindi. Patrzę na mapę i odnoszę wrażenie, że to nieciekawej rejon, w porównaniu z jeziorem Wiktorii, Tanganiką, czy rejonem Arusha z górą Kilimandżaro.

Do Lindi niecałe 600 km, stąd moje przekonanie, że pojedziemy samochodem. Okazuje się to jednak niemożliwe. Parę lat temu został zniszczony most na rzece Rufiji. Podobnie jest z mostami na kilku innych mniejszych rzekach. Co więcej, stan dróg jest taki, że podróż nawet terenowym samochodem musiałaby trwać ponad dwadzieścia godzin. Lecimy więc samolotem ze wszystkimi bagażami, specjalnym zestawem medycznym, moskitierami i zapasem środków „antykomarowych”, które okazały się bardzo przydatne. Pamięamy ostrzeżenie, że w terenie od miejscowych szpitali i lekarzy trzymać się trzeba z daleka. Przyjmowanie jakichkolwiek leków, poza otrzymanymi, wykluczone. W razie wypadku mamy drogą radiową wzywać pomoc lotniczą. Niewielki szpital będzie funkcjonował w Dar es Salaam, a pełna pomoc medyczna w Nairobi, gdzie stacjonują do naszej dyspozycji zespoły lekarzy, samoloty i helikoptery. Ubezpieczenie na kwotę około 150 tysięcy dolarów nie wydaje się w tej sytuacji tylko kosztowną formalnością.

Przelot sześciu osób 12-osobową Cessną-Caravan II trwa nieco ponad godzinę i jest przejawem ostatniej wygody, której doznajemy w czasie tej misji – potem było już tylko gorzej. Ale dzięki temu pozostały niezatarte wspomnienia. Lotnisko w Lindi trawiaste, w pobliżu dwa skromne budynki „portu lotniczego” i dwie oczekujące na nas terenowe toyoty. Do Lindi tylko około 20 km, jedziemy jednak wyboistą, krętą, gruntową drogą prawie godzinę. Tylko w samym miasteczku jeden, może trzykilometrowy, odcinek asfaltowej jezdni. W centrum o nędznej drewnianej zabudowie, chyba jeszcze z ubiegłego wieku, drogi, nie ulice, piaszczyste. Połączenie kurzu z upałem towarzyszyć nam będzie w drodze powrotnej na lotnisko. Przewodnik prowadzi nas do jednego z zarezerwowanych „hotele”. Cudzysłów w pełni uzasadniony, gdyż jest to w zasadzie gliniany barak bez wody i choćby najprymitywniejszego wc. Rezygnujemy na szczęście i w końcu trafiamy do górnej części miasta, gdzie jest kilka porządniejszych budynków administracyjnych, droga w budowie i niewielkie osiedle domków z pokojami o zdecydowanie przyzwoitym

standardzie. Ale i tu z wodą są kłopoty, a podawane posiłki nie budzą zaufania. Trzeba bowiem pamiętać o szczególnym zagrożeniu sanitarnym Tanzanii, gdzie nawet gotowana woda nie stanowi gwarancji bezpieczeństwa. Ale żyć trzeba, jeść trzeba, a przede wszystkim trzeba pić. W całym Lindi znaleźliśmy tylko jeden sklep, prowadzony przez Hindusa, gdzie kupiliśmy na najbliższe dni wodę mineralną w zamkniętych butelkach. Czy rzeczywiście nadawała się do picia bez gotowania, miało się dopiero okazać.

Następnego dnia wraz z D.J. Beijlen-Geerts, holenderską feministką, zostałem wysłany do rejonu Kilwa-Masoko. To tylko niecałe 200 km na północ, ale na miejsce dotarliśmy dopiero wieczorem. Droga jeszcze gorsza niż z lotniska, ale jeszcze nie najgorsza z możliwych. Krajobraz po drodze bardzo urozmaicony – zielona Afryka. Dopiero zbliża się pora deszczowa, ale już od czasu do czasu pada, stąd zieleń zdecydowanie młoda. Ruchu na drodze w zasadzie nie ma. Osiedli ludzkich niewiele, za to często widzimy stadka kolorowych ptaków i niewielkie stada małąp. Nie zatrzymujemy się na dłuższe postoje, by zdążyć przed zmrokiem. Pomimo to przez całe kilometry poruszamy się w tempie pieszego. Poobijani, w wyniku gwałtownych ruchów pojazdu, i skrajnie zmęczeni docieramy do Kilwa-Masoko. Znów uboga ni to wieś, ni to miasteczko rozciągnięte wzdłuż drogi do portu, przez który w dawnych czasach przechodziły tysiące niewolników. Pozostały nawet resztki zabudowań arabskich, a na pobliskiej wyspie dobrze zachowana warownia. Dziś w porcie tylko łodzie miejscowych rybaków (łowi się tu podobno najlepsze frutti di mare w Tanzanii), a „zapach” suszących się wszędzie małych rybek i niewielkich ośmiornic jest trudny do zniesienia. Są one przeznaczone dla biedniejszych. Bardziej wykwintne gatunki ryb, ośmiornic i langusty na targowiska nie trafiają. Zapewne są dostarczane do domów odbiorców nieco zamożniejszych.

Zatrzymujemy się w jednym z miejscowych „domów dla gości”. To pewnie spadek kolonialny. Ale pomysł zupełnie niezły, na razie standard skromny. Budowane są przy drodze. Front to skromna restauracja na kilka stolików, gdzie posiłki równie skromne, ale również dla nas bardzo tanie. Właściciel restauracji prowadzi jednocześnie hotel, do którego przechodzi się z restauracji. Hotel to jeden korytarz z wejściami do pokoi. Niektóre z nich mają łazienki ze sprawnym wc, umywalką i dwoma kranami, w których woda jest dość często. Prof. L. Turko miał nad jeziorem Wiktorii skromniejsze warunki. Moskitiera i środki antykomarowe niezbędne, bo wszelkiego robactwa jest bez liku. Posiłki miejscowe: rano tylko herbata i drożdżowe bułeczki-pączki, natomiast obiad i kolacja to ryż z jakimś mięsem i sosem. Podaje się tylko łyżkę, ręce okazują się użyteczne, ale można je umyć, zarówno przed, jak i po posiłku.

Jest poczta i telefon. Udaje się nam powiadomić, że dotarliśmy do Kilwa-Masoko. Rano, w przeddzień wyborów (28 października), wybieramy się, aby sprawdzić, jak przygotowano się do całej operacji.

Nie mamy wielkiego wyboru, co do trasy, gdyż w promieniu 500 km możemy jedynie albo wrócić w kierunku Lindi, albo pojechać na północ w kierunku Dar es Salaam. I trzecia możliwość: podążyć na zachód aż do miejscowości Ninja, potem

skrajem parku narodowego, dalej na północ przez tereny bezludne i na wschód z powrotem do Lindi. Wybraliśmy tę ostatnią trasę powodowani, trzeba to przyznać, nie tylko dobrem naszej misji. Chcieliśmy bowiem odwiedzić przy okazji park narodowy – największy w Tanzanii rezerwat słoni. Mieliśmy do przejechania tylko około 250 km, ale okazała się to „droga przez mękę” i to w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Szlak, bo nie droga, wiódł przez tereny dostępne tylko w porze suchej. Ostrzeżono nas, że gdyby zaczęło padać, należy natychmiast wracać, bo można pozostać na tygodnie. Dosłownie przedzieraliśmy się, starając się ominąć głębokie doły, rowy i koleiny, ocierając się o gęsto rosnące drzewa i krzaki. Tereny leśne, w tym liczne baobaby, przeszły w sawannę. Powietrze duszne, gorące, wręcz lepiałe się, pełne trudnych do określenia zapachów, które tylko chwilami były zapachem kwitnących kwiatów. Tylko pojedyncze chaty murzyńskie, skromne plantacje i wielkie puste przestrzenie. Im bliżej rezerwatu, tym mniej ludzi. W Ninja oglądaliśmy przygotowany na terenie zdewastowanej, ale funkcjonującej szkoły, lokal wyborczy: niezbyt starannie uprzątnięta klasa, jeden podniszczony stół, ledwie trzymające się szkolne ławki, dwie skrzynki metalowe – urny i zapieczętowany w metalowym pojemniku „zestaw wyborczy” (druki i drobny sprzęt biurowy). Całości dopełniała lampa naftowa. W sąsiedniej klasie „szkolenie wyborcze” zorganizowane, zgodnie z ordynacją, przez jedną z partii politycznych. Rozmawiamy z lektorem – inspektorem szkolnym z Lindi, który nie tylko dobrze mówi po angielsku, ale i dobrze zna prawo wyborcze.

Towarzyszyl nam „miejscowy obserwator”, działający z upoważnienia komisji wyborczej, co było bardzo dla nas istotne, gdyż również znał angielski, w przeciwieństwie do naszego kierowcy władającego tylko swahili. Od Ninja przejeżdżamy przez dziesiątki wyschniętych o tej porze rzeczek. Z trudem brniemy przez głębokie wąwozy. W końcu, wczesnym popołudniem, docieramy do parku narodowego. Choć nie mamy specjalnych pozwoleń, płacąc, oczywiście w dolarach, otrzymujemy przewodnika uzbrojonego w pięciopalcowy karabin i wyruszamy na safari. Ku naszemu zaskoczeniu zwierząt jest bardzo dużo: gazy, bawoły, coś podobnego do dzika, różne gatunki małp, ptaki fruujące i biegające, w sporej odległości żyrafy. Nie spotkaliśmy słoni, które dopiero późnym wieczorem przychodzą do wodopoju. Byliśmy tam zbyt długo i już zaczęło się zmierzchać, gdy wyruszyliśmy w powrotną drogę do Kilwa-Masoko. Widoki podarowane nam przez szybko zapadający zmrok godne najlepszego filmu przyrodniczego. Noc nastąpiła w ciągu kilku minut. Nic nie widać oprócz świateł samochodu i od czasu do czasu ognisk płonących przed murzyńskimi chatami. Nie uwierzyłem, że to ochrona przed lwami do chwili, gdy po kilku godzinach jazdy, za zakrętem, w światłach samochodu zobaczyliśmy lwicę, która bez specjalnego pośpiechu oddaliła się z dwoma małymi.

Kierowca, z całą pewnością wyśmienity, pędził z szaleńczą jak na te warunki prędkością. Ledwie mogliśmy utrzymać się w samochodzie, ale poobijani byliśmy ze wszystkich stron. Gdy w końcu koło północy dotarliśmy do naszego hotelu, z trudem utrzymywaliśmy się na nogach. Ale warto było!

Dzień wyborów – 29 października – nie był już tak turystycznie interesujący. Mieliśmy sporo obowiązków, a wypełnianie stosownych ankiet zajmowało sporo czasu.

Obserwowanie po raz pierwszy wyborów w tej części Afryki stanowi niewątpliwie atrakcję dla kogoś przybywającego z Europy. Bo to i sceneria wyjątkowa, egzotyczna, tacyż wyborcy, a i sama procedura szczególna. To moje piąte afrykańskie wybory – w zasadniczych elementach bardzo podobne do poprzednich. W Tanzanii, kraju od lat politycznie stabilnym, bez istotniejszego przemieszczania dużych grup ludności, zarejestrowanie wyborców nie było tak kłopotliwe, jak na przykład w Mozambiku. Jedyne w Lindi, prowincji słabo zaludnionej – gdzie małe wioski, a nawet pojedyncze osady rozrzucone są na ogromnej przestrzeni – problemem było zachęcenie ludzi, by zarejestrowali się jako wyborcy. W kraju nieistniejącej komunikacji publicznej i bezdroży wymagało to, niejednokrotnie, kilkudniowej wyprawy. Wielu się na to nie zdecydowało. A kto nie został zarejestrowany i nie otrzymał stosownego dokumentu, nie mógł wziąć udziału w wyborach. W miejscu, gdzie dokonano rejestracji, odbyły się następnie wybory.

Przewodniczącymi komisji wyborczych byli najczęściej nauczyciele, w bardzo wielu wypadkach kobiety. Wszyscy członkowie komisji okazali się dość dobrze przygotowani do pracy, choć zaznaczyć trzeba, że czynności urzędowe i dokumentacja były dość proste.

Przed lokalem wyborczym z reguły – zwłaszcza na terenach wiejskich były to pomieszczenia wręcz nędzne – czuwał „porządkowy”, odpowiedzialny za spokój. Rzadko był to umundurowany policjant. Najczęściej skromnie odziany człowiek z przypiętą szpilką stosowną karteczką. Przy wejściu pierwsza kontrola. Sprawdzenie, czy zgłaszający się ma dokument potwierdzający rejestrację wyborczą. Głośno odczytane nazwisko i imię zostaje sprawdzone na liście wyborców i w bloku kopii takich samych dokumentów, jaki okazuje wyborca. Jeżeli wszystko się zgadza, przewodniczący komisji przygotowuje dwie karty do głosowania przeznaczone do wyborów parlamentarnych i prezydenckich, tłumaczy technikę głosowania, a następnie składa obydwie dokumenty w wymagany przez ordynację wyborczą sposób i stawia we właściwych miejscach dwie pieczęć komisji. Z kartami do głosowania wyborca udaje się do miejsca, gdzie nie może być obserwowany przez osoby postronne, potem wraca i każdą z kart wrzuca do oddzielnej opieczetowanej urny. Przed opuszczeniem miejsca głosowania otrzymuje z powrotem okazany wcześniej dokument i zanurza najmniejszy palec prawej ręki w pojemniczku z tuszem, którego zmycie przez co najmniej dwa dni nie będzie możliwe (sprawdziłem).

Ten prosty „akt wyborczy” przebiega w obserwowanych przez nas punktach wyborczych bardzo sprawnie. Wyborcy są bardzo zdyscyplinowani, komisje dobrze przeszkolone, materiały wyborcze w komplecie. Jednakże czynnikiem chyba najważniejszym dla sprawności wyborów, w każdym razie w naszym rejonie, była liczba wyborców. Zaplanowano udział wszystkich uprawnionych. Zarejestrowano około 80 proc., a w wyborach wzięło udział około 60 procent. W naszym rejonie, słabo zaludnionym, gdzie do

punktów wyborczych jest często bardzo daleko, jeszcze mniej. Nie były to odosobnione wypadki, że komisja miała do przeliczenia 400–600 kart wyborczych w obu głosowaniach.

W ciągu dnia wyborów odwiedziliśmy ponad 40 punktów wyborczych. Ich siedziby z reguły były bardzo skromne, ale nigdzie nie zauważyliśmy jakichkolwiek naruszeń ordynacji wyborczej. Niektóre komisje robiły wrażenie nieco nieporadnych, co wyborcy znosili cierpliwie, a i członkowie komisji przyjmowali ze spokojem. Tylko w jednym miejscu komisja stanęła przed problemem „nie do rozwiązania”. Dla nas sytuacja była prosta, ale żadnej rady nie mogliśmy udzielić. Ordynacja pozwalała w takiej sytuacji zwrócić się do rejonowego komisarza wyborczego. W tym wypadku miał on swoją siedzibę w odległości ponad 20 kilometrów, a wiodła tam bardzo zła droga. Gdyby nie nasza obecność, nie wiem, co by zrobili. Zostaliśmy na miejscu, a nasz kierowca z jednym z członków komisji pojechał po komisarza. Wszystko zostało wyjaśnione.

Lokale wyborcze miały być czynne do 16.00, aby jeszcze przed zmrokiem można było przeliczyć głosy. Decyzją krajowej komisji wyborczej przedłużono wybory do 20.00. O tej godzinie zjawiliśmy się w jednym z lokali wyborczych w pobliżu Kilwa-Masoko. Do przeliczenia było niecałe 400 kart do głosowania. Zajęło to członkom komisji bardzo dużo czasu. Choć ordynacja wymagała licznych czynności, były one jednak dość proste. Jednakże dobra organizacja pracy i myślenie zdroworozsądkowe nie było najsilniejszą stroną „naszej” komisji. Ale i w tym wypadku nie mogliśmy nic doradzać. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i trwać do końca na obserwacyjnym posterunku. Wreszcie po czterech godzinach przewodniczący komisji wykonał ostatnią czynność – wywiesił w widocznym miejscu kopię końcowego sprawozdania.

Następnego dnia, w drodze powrotnej do Lindi, zatrzymywaliśmy się wielokrotnie przy siedzibach kolejnych komisji wyborczych, by odnotować wyniki wyborów. Wszędzie widzieliśmy to samo: zwyciężała dotychczas rządząca partia i jej kandydat na prezydenta.

Moje sprawozdanie dobiega końca, a jak dotąd nie wspominałem o tym, co w demokratycznych wyborach jest najważniejsze: kto z kim i o co się spierał w walce o głosy wyborców. Nie jest to przypadkowe. W tych wyborach, w ocenie wszystkich obserwatorów, nie było sporów programowych, a o systemie wielopartyjnym trzeba mówić z wielką ostrożnością.

Do wyborów stanęła jedna zorganizowana od dawna siła polityczna, znajdująca wsparcie w strukturach władzy – Chama Cha Mapinduzi (CCM), czyli Rewolucyjna Partia Tanzanii. W obecnym kształcie powstała w 1977 r. i bez znaczących sukcesów, zwłaszcza gospodarczych, rządziła przez te wszystkie lata.

Tanzania to najbiedniejsze, po Mozambiku, państwo świata. Widać to na każdym kroku, choć głodujących podobno nie ma. Państwo to, choć nie dotknięte od wielu lat nieszczęściem wojny, zaczyna mieć kłopoty z islamistami, co nie wróży dobrze – wszak większość mieszkańców wyznaje islam. Kłopoty sprawia dwuwyspowy Zanzibar. Do tego wojny etniczne na zachodniej granicy i uciekinierzy z Rwandy i Burundi. Tanzania to państwo wielkich możliwości. Klimat i gleby sprzyjają

rolnictwu. Atrakcji turystycznych nie brakuje. Jest ich więcej niż w sąsiedniej Kenii. Ale Tanzania, w opinii większości specjalistów, jest w katastrofalny sposób rządzona. Pomoc międzynarodowa jest bądź marnowana, bądź rozkradana. Scentralizowane zarządzanie, przy braku samorządów, skrajnie niewydolne. Zagraniczni inwestorzy bardzo wstrzemięźliwi.

System wielopartyjny dopiero w powijakach. Przekonały o tym wyniki wyborów, gdyż kandydaci innych niż CCM partii – NCCR (Narodowe Porozumienie na rzecz Odbudowy i Reform), CUF (Zjednoczony Front Obywatelski) czy UDP (Zjednoczona Partia Demokratyczna) – zdobyli w rejonie Kilwa-Masoko znikomą liczbę głosów. Zdecydowała o tym słabość tych partii, brak wyraźnego programu wyborczego, słabość kampanii wyborczej, a może przede wszystkim niechęć angażowania się w życie publiczne ze strony wyborców i obawa przed zmianami.

Po powrocie do Dar es Salaam dowiedzieliśmy się, że wszędzie wybory przebiegały bez znaczących zakłóceń z wyjątkiem, ku naszemu zaskoczeniu, samej stolicy. Tu stała się rzecz prawie nieprawdopodobna. Otóż wielu członków komisji po prostu nie podjęło czynności, gdyż... nie otrzymali przyrzeczonego wynagrodzenia. A były to kwoty niewielkie, z naszego punktu widzenia wręcz symboliczne. To jednak spowodowało, że w Dar es Salaam wybory trzeba było w listopadzie powtórzyć. Co kraj to obyczaj. Ale taka też jest Afryka – zaskakująca w najprzedziwniejszy sposób.

Czy coś się zmieni po wyborach w Tanzanii? Od razu na pewno nie. Jest nadzieja na przyszłość – choć niewielka. Wydaje się bowiem, że zmiany w tym rejonie Afryki będą postępowały bardzo powoli. Zagrożeń jest bez liku, a obszar nędzy rozciąga się z tego miejsca w każdą stronę na wiele tysięcy kilometrów. Ważne jest, by nie doszło do konfliktów wewnętrznych, zwłaszcza na tle religijnym, by pokój powrócił do krajów sąsiednich. Zbyt wiele jest niepewności, aby być optymistą.

Przez długi jeszcze czas Tanzania będzie obszarem bardzo trudno dostępnym. A jest to kraj piękny, z pierwotną, dobrze zachowaną przyrodą. Bez trudu można się znaleźć w warunkach towarzyszących pierwszym odkrywcom. To też jedna z szans Tanzanii – krainy spokojnych ludzi, bezpiecznej, niewyobrażalnie atrakcyjnej turystycznie, do której odwiedzenia zachęcić można każdego, choć eksploracja będzie jeszcze długo bardzo trudna. Ale moim zdaniem ten wyjątkowy trud warto podjąć.